Chorzowski Teatr Ogrodowy
sezon trzynasty

SZTAJGEROWY CAJTUNG

Numer 3

26 lipca 2019 r.

GAZETKA FESTIWALOWA

numer 3 (70), wydrukowano 1000 egzemplarzy

Drodzy Widzowie

czyli mistrzowska szkoła

W samym środku wakacji przenosimy się do szkoły. Na scenie w Chorzowskim Centrum Kultury zaprezentuje się prawdziwy arcymistrz-belfer, Wojciech Pszoniak. To nie tylko komentarz do rzeczywistości (tekst nabiera aktualnych znaczeń niezależnie od belgijskiego autora), ale też spełnienie teatralnego marzenia.
A już za tydzień przyjeżdża do nas na dwa spektakle Teatr Badów im. Piotra Bikonta: w ubiegłych latach mogliście oglądać ich sceniczne pomysły: doskonałe adaptacje dzieł literatury. Tym razem nie będzie inaczej! W sierpniu wystartuje też Chorzowski Teatrzyk Ogródkowy, o czym wkrótce, jednak pamiętajcie, że dla wszystkich na wydarzenia małego ChTO wstęp wolny (i będą baloniki!).

Zapraszam!
Naczelny Ogrodnik
Sergiusz Brożek

Wystarczy jeden widz

rozmowa z Wojciechem Pszoniakiem

Sztajgerowy Cajtung: „Ja wam, k…, pokażę, że będę aktorem!". Mocne słowa skierował Pan kiedyś do komisji egzaminacyjnej. Czy była w tym chęć zaistnienia, zapadnięcia w pamięć? Skąd pewność, że tak się stanie?
Wojciech Pszoniak: Może nie byłem pewny, że tak się stanie. To była moja reakcja na to, że nie dali mi do końca szansy na egzaminie zaistnieć. W związku z tym był to pewnego rodzaju mój desperacki krzyk. Miałem poczucie, że nie poświęcili mi wystarczająco dużo uwagi. Każdy egzamin, szczególnie w artystycznych dziedzinach, jest sprawą bardzo delikatną. Oni się mną, najprościej mówiąc, nie zainteresowali. Przyjęli na ten rok ludzi, których nazwiska dzisiaj nic by Pani nie powiedziały. Może to była wina zmęczenia, jestem przecież pedagogiem, wiem, jak na egzaminach człowiek się męczy… ale to wielka odpowiedzialność. Nie można odpoczywać sobie w momencie, gdy decyduje się o życiu młodych ludzi: bo to jest element decyzji za młodego człowieka, którym wtedy byłem. Ale w związku z tym, że dali mi szansę, żebym zrozumiał, że jestem mocny i nie dam się, mogę im za to podziękować.

ciąg dalszy rozmowy na stronie 5 i następnych...

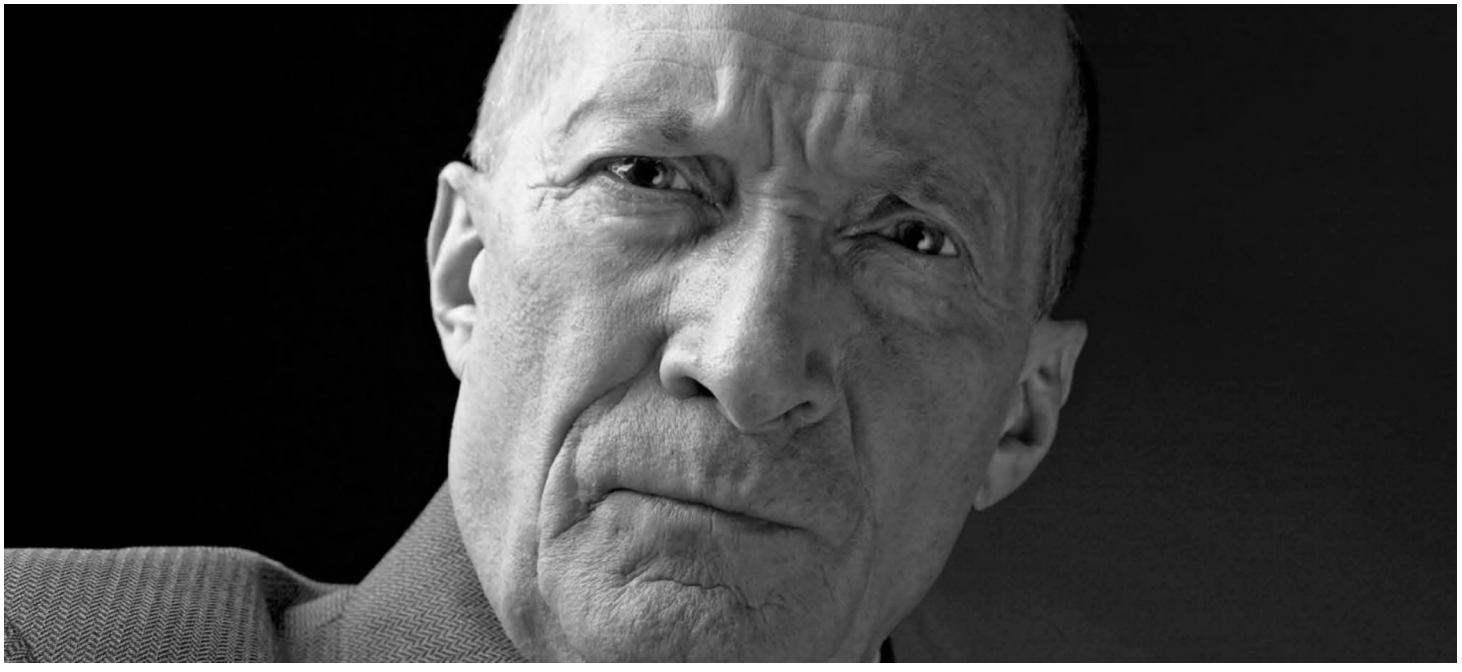

BEZ OGRÓDEK
czyli wywiady i recenzje

Zemsta belfrów
o *Quo vadis*

Na ziemi węgla i modrej kapusty, na ziemi, która pozwala odetchnąć świeżym powietrzem (w odróżnieniu od zatęchłej Warszawy), zbudowany został starożytny Rzym. Zbudowany został właściwie jedną styropianową kolumną, niezbyt wysoką, ale wystarczającą do zasugerowania przestrzeni. W sumie skoro o scenografii mowa, to i tak jak na Montownię jest imponująca: podesty na różnych wysokościach (raz zamienią się w scenę, raz w rewiowe schody, a raz w… ukryty dom Piotra rybaka, pierwszego ucznia Chrestosa: miejsce tajnych spotkań pierwszych chrześcijan). Podesty tworzą piętro, które umożliwia jednoczesną obserwację różnych planów przestrzeni i sugerują boskość pięknej Ligii, która objawia się, niczym Matka Boska, nad zaskoczonymi Rzymianami. Pod podestem tepidarium (pomieszczenie między łaźnią a pokojem kąpieli gorących, jak dowiedzą się w pierwszych słowach widzowie), namiot, albo komnaty, w których przebywa Cezar. Do tego klatka dla lwów, żeby zamienić scenę w arenę igrzysk. Zresztą: co tylko będzie potrzebne, to wyczaruje się z teatralnych rozwiązań. Kufer na rekwizyty jest wanną (ma nawet prysznic) albo stołem mikserskim dla DJ-a, statyw na mikrofon jest statywem (i nikogo nie dziwi jego istnienie w starożytnym Rzymie). To przecież Montownia: minimum scenografii, minimum rekwizytów, za to mnóstwo zabawy. Na scenie pojawi się nawet basen. Rekwizytowa i kostiumowa asceza cieszy: tu role zmieniają się w zależności od przywdzianego nakrycia głowy, obcisłe giezło Rutkowskiego jest raz suknią Ligii Kaliny, raz zbroją dowódcy pretorianów. Maciej Wierzbicki może być Cezarem (kiedy na głowie ma wieniec z liści laurowych) albo niewolnicą-niewolnikiem Eunice (kiedy przykuty jest do kuli; ale ta kula z kolei w mgnieniu oka stać się może kulą do przepowiadania przyszłości), swoją drogą rekord metamorfozy scenicznej dzielą ze sobą Rutek i Wierzba: ten pierwszy zmienia się z dowódcy pretorian w Ligię przez zdjęcie hełmu (umiejętność przydatna, kiedy akurat Cezar chce go stracić), ten drugi schodzi ze sceny jako Cezar i natychmiast wyłania się zza parawanu jako Eunice. Siłacz Kroton przedstawiony został jako karateka, który pokonuje przeciwników bez dotykania ich (a na wstępie rozbija głową „beton"), za to Ursus ma koturny, imię po traktorze i za krótki statyw. O pomysłach na wykorzystanie pojawiających się na scenie przedmiotów można by pisać w nieskończoność. A przecież tu liczy się też historia.

Historia wiernie przejmowana od Henryka Sienkiewicza. Może tylko ze zmodyfikowanymi punktami kulminacyjnymi, choć i to nie zawsze. Sama powieść *Quo vadis* wydawała się kompletnie niesceniczna, nieprzypadkowo w zapowiedziach Montowni pojawiła się jako żart. Jednak do adaptacji tekstu doszło, a mogło się to udać tylko z przymrużeniem oka. W spektaklu będzie wielka miłość Marka Winnicjusza do Ligii Kaliny, będą prześladowania pierwszych chrześcijan, będzie spalenie Rzymu i igrzyska, będzie Ligia na byku. Wszystko, co najważniejsze w powieści. Tyle że na wesoło, albo, jak kto woli, prześmiewczo. Dopisane do Sienkiewicza zostały piosenki, każda w innym stylu, każda podbijająca komizm. Rafał Rutkowski i Marcin Perchuć na wstępie intonują duet na wzór *Dumki na dwa serca*, Neron śpiewa „bo ja jestem, proszę państwa, zajebisty", kiedy Rzymianie skaczą i tańczą pod sceną, przepis na rybę po grecku zamienia się w hit z *Ulicy Sezamkowej* rodem, Lew z *in vitro* ma fryzurę Tiny Turner, pierwsi chrześcijanie śpiewają gospel, a do flamenco w ogóle trafia „La Sztygarka". Piosenka o miłości (lub zabójstwie) to parodia Arki Noego. W tym świecie przenikają się aktualne pomysły z imitowaniem przeszłości: dlatego też orgii w stylu starożytnych Rzymian towarzyszy muzyka techno. Kolaż gatunków i teatralnych cytatów sprawdza się tu znakomicie, Montownia wykorzystuje między innymi zabawy pantomimą, bezustannie rozbija patos (kiedy Winnicjusz ryje wiadomość dla Petroniusza, robi błąd ortograficzny w swoim nazwisku), tytułowe pytanie wyzwala kolejne: kto ma nieść GPS. Każdy przedmiot, który pojawi się na scenie, jest ogrywany na różne sposoby, klatka dla lwów na przykład na moment stanie się harfą. Chociaż akcja rozgrywa się błyskawicznie (spektakl trwa godzinę i jest faktycznie esencją dowcipu), udaje się aktorom Montowni bez problemu wskazywać rodzaje relacji między postaciami i błyskawicznie szkicować charaktery. Czy to podlizywanie się Neronowi i odpowiadanie na jego kaprysy, czy pożądanie narastające między Markiem Winnicjuszem i Ligią, czy radość i naiwna wiara pierwszych chrześcijan: wszystko jest tu satyryczne, ale też wiarygodne. Prześmiewczość nie psuje radości ze śledzenia opowieści. Zdarzają się kreskówkowe skróty czasowe, a całość bazuje na przerysowaniu, ale to wszystko zrobione jest wdzięcznie i z pomysłem. Na scenie doskonale bawi się Montownia, na widowni doskonale bawi się publiczność: to najlepsza odpowiedź na pytanie, dlaczego Montowniacy są stałymi gośćmi ChTO.

A na czym polega zemsta belfrów? Jeśli ktoś nie przeczytał *Quo vadis* wtedy, kiedy zadał mu taką lekturę nauczyciel i po spektaklu Montowni zechce nadrobić zaległości czytelnicze, już zawsze Ligia Kalina będzie dla niego mieć uduchowioną twarz grającego piękną dziewicę Rafała Rutkowskiego. I dobrze. (Iza Mikrut)

BEZ OGRÓDEK
czyli wywiady i recenzje

Co ludzie powiedzą!
recenzja spektaklu *Quo vadis*

Sięgając po dzieło wybitnego polskiego pisarza, laureata literackiej nagrody Nobla, Teatr Montownia postawił sobie wysoko poprzeczkę. Ową poprzeczką w moim odczuciu jest powszechna opinia o tym, że pewne dzieła literackie, ale także m.in. utwory muzyczne należy przedstawić tak, a nie inaczej, co często powoduje sytuację zero-jedynkową bez miejsca na inne „barwy". Nie mam wątpliwości, że adaptacja *Quo vadis* według Rafała Rutkowskiego i Montowni może wzbudzać skrajne emocje, o czym zresztą Rutkowski mówił w wywiadzie dla „Sztajgerowego Cajtunga". Osobiście nie jestem przeciwnikiem sięgania po najważniejsze pozycje polskiej i światowej literatury i ich niesztampową adaptację sceniczną. Ważne, aby zachować odpowiedni dystans, przy utrzymaniu wysokiego poziomu, często rotującego między absurdem a chwilą zastanowienia i scenicznego oddechu.

Obecność Teatru Montownia na deskach Chorzowskiego Teatru Ogrodowego to już niemalże tradycja. W tym roku zespół przyjechał do Chorzowa z jedną ze swoich starszych repertuarowo sztuk, *Quo vadis* w adaptacji i reżyserii Rafała Rutkowskiego swoją premierę miało pod koniec 2014 roku. W zeszłym roku *Ceremonie zimowe* zaprezentowano na tle monumentalnej fasady kamienicy. Rozwiązania sceniczne w *Quo vadis* opierają się głównie na systemie podestów, które w swojej zwartej (i równie monumentalnej) kubaturze tworzą przestrzeń gry dla aktorów. To bardzo ciekawy pomysł scenograficzny,uniwersalny, niedosłowny i pozostawiający pole do własnych interpretacji. Nawiązaniem do podestowej scenografii są koturny Marcina Perchucia, które wykonane są z tego samego materiału i czynią z Marcina Perchucia ponad dwumetrową postać. Nie sposób nie wspomnieć o kolejnym elemencie „techniki scenicznej", zastosowanym w spektaklu, a mianowicie o skrzyni transportowej, która pełniła rolę wanny m.in. dla Marka i Ligii.

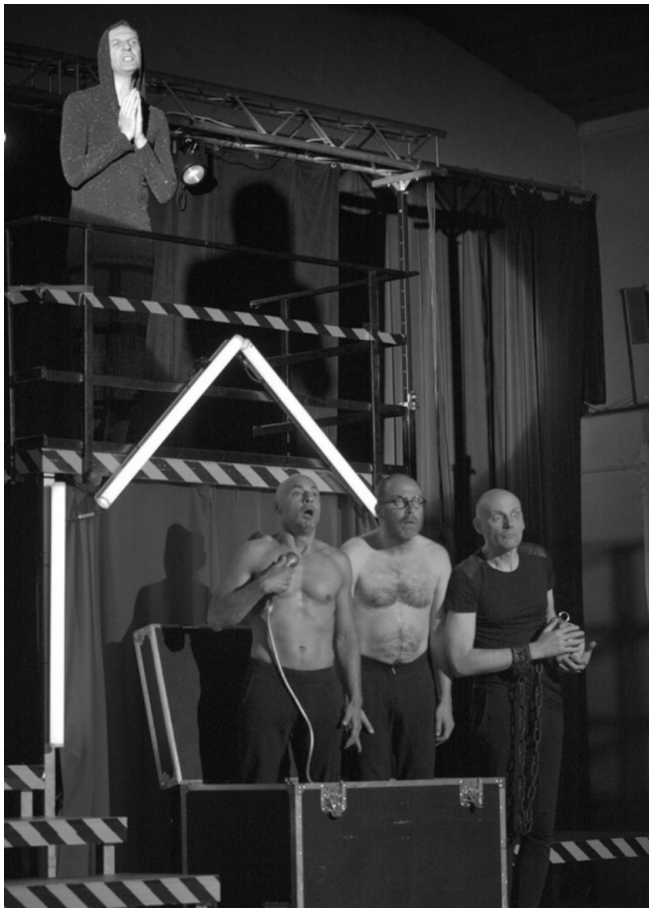

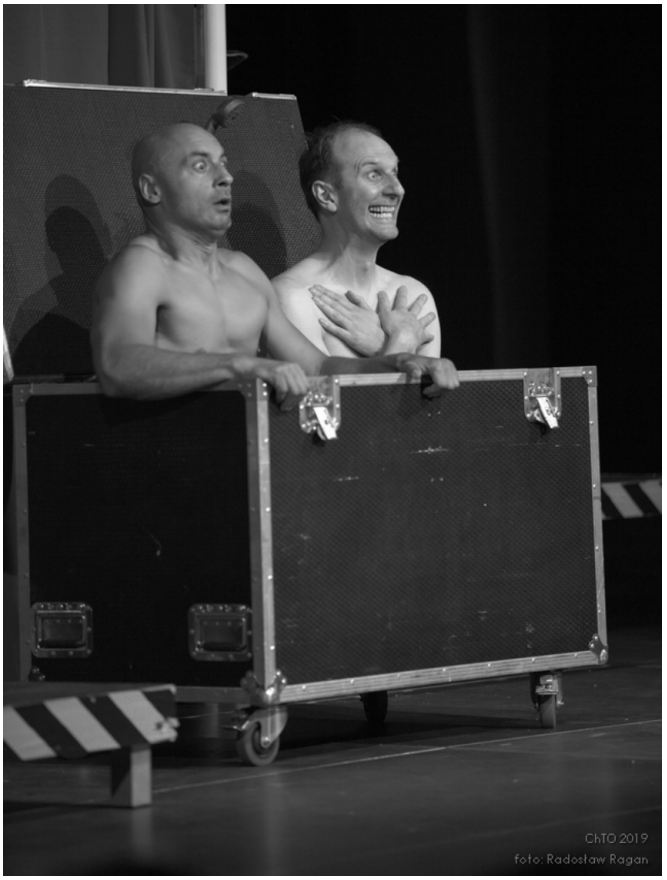

Aktorzy Teatru Montowania rzadko pozostawiają moment na chwilę oddechu, serwując nam wachlarz scenicznych atrakcji. Nie jest tajemnicą, że cała czwórka zna się „od kołyski" i doskonale się rozumie na scenie. To bardzo ważne, bo dzięki temu przełamuje się barierę między aktorami a odbiorcą: widz wyczuwa wzajemną sympatię, dzięki czemu spektakl staje się lepiej odbierany. Oprócz adaptacji tekstu Sienkiewicza w spektaklu znajdziemy kilka piosenek autorstwa samych artystów Montowni, które wpadają na długo w ucho. Piosenki są luźnym nawiązaniem do współczesności, okraszonym charakterystycznym dla Montowni poczuciem humoru. Między aktorami istnieje zauważalna dla widza przyjacielska więź. To wielki plus teatrów niezależnych: w takich miejscach pracują ze sobą ludzie, którzy się lubią i tworzą to, co chcą. Dzięki temu spektakle nie są sztampowe, a często można zobaczyć wiele nowych fragmentów powstałych w danej chwili i w danych okolicznościach. Najlepszym tego przykładem jest Montownia, która bawi się konwencją, jednak w granicach dobrego smaku i w sposób dojrzały.

Quo vadis w wykonaniu Montowni to na pewno nie sztuka dla uczniów, którzy wybiorą ją zamiast przeczytania lektury. To nie sztuka dla literackich purystów i miłośników klasycznej polskiej literatury. To sztuka dla każdego z nas, dla widzów, którym na co dzień narzuca się kulturowe sztampy, często nie pozostawiając możliwości spojrzenia na dany utwór z innej strony, czasem z przymrużeniem oka. Spektakl, który pozwala humorystycznie przywołać zapomniane i często nielubiane pozycje literackie, wałkowane w szkole. *Quo vadis* to 70 minut żonglerki konwencją, aluzjami do współczesności, podane w charakterystycznym i niepodrabialnym stylu Montowni.

Wojtek Boruszka

Poruszanie synapsami
Niepodległość słoików

Jak to działa? Bardzo prosto. Czasami lalka przywlecze za sobą animatora. Animator wkłada rękę w mózg lalki, steruje synapsami i już. Rafał Rutkowski w stand-upowym wstępie do *Niepodległości słoików* wytłumaczy niewtajemniczonym kim jest słoik, ale też: jak oglądać widowisko muppetów. Przy okazji zwróci też uwagę na kwestie techniczne, sam w tym spektaklu jest realizatorem światła, kiedy znika jako postać, udaje się za pulpit ustawiony na scenie, żeby budować klimat opowieści. Z kolei z trzymanego w ręce telefonu puszcza muzykę. Nie dość, że jako stand-uper wprowadza publiczność w temat i przywołuje na scenę różnych bohaterów, to jeszcze zamienia się w animatora wydarzeń. Prowadzi między innymi terapię pozytywną i podpowiada słoikom, co mają robić, żeby poradzić sobie z rzeczywistością w stolicy.

Ile postaci, tyle pomysłów, każdy znajduje inny sposób na siebie. Wałszawska syłenka, symbol miasta, Pałac Kultury i Nauki, czy Pan Prezydent, ale i zupełnie zwyczajni przedstawiciele społeczeństwa. Do Warszawy przybywa Tania, Ukrainka zajmująca się sprzątaniem. Tania zwykle siedzi na mopie (wzorem dawnych czarownic), jedną dłoń (połączoną z dłonią Heleny Radzikowskiej) ma w rękawiczce gumowej, zawsze gotowa do czyszczenia i pokonywania brudu. Kiedy ma dość, zaśpiewa protest song, paląc papierosa. Białostocki Podlaski Śledź natomiast widzi swoją szansę w polityce. Skrajnie prawicowe poglądy przetyka zabawami słownymi („byłem na fali"). Wydaje rozkazy, jest niezłomny i nieustraszony. Myśleć nie musi, wystarczy mu siła. O ile Podlaski Śledź chce się wybić, o tyle Mariusz z Ożarowa próbuje się ukryć. Nie dlatego, że jeździ na wózku. Jego strategia polega na szukaniu niezgodnych z przepisami rozwiązań. Tam, gdzie niepełnosprawnym stawia się jakieś bariery, tam Mariusz z Ożarowa dotrze, żeby wywołać awanturę i wyciągnąć dla siebie wysokie odszkodowanie. Jako jeden z nielicznych ma szansę na zrobienie kariery.

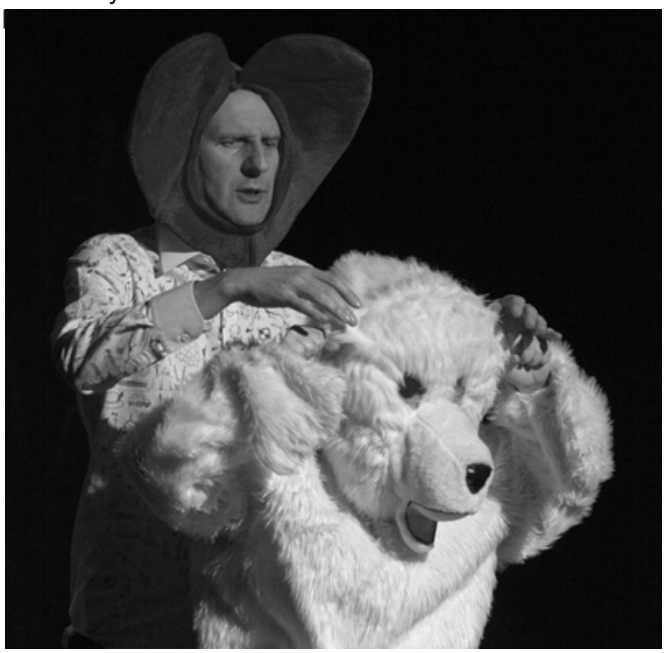

Na osobną uwagę zasługuje Prowincjonalny Aktor, próbujący robić karierę wśród homoseksualistów-reżyserów. Każda z postaci ma swoje solowe wystąpienie, czas na prezentację i na zwierzenia (co czasami przeradza się w sesję psychoterapeutyczną). Jednak iskrzyć zaczyna dopiero wtedy, gdy wchodzą ze sobą w interakcję. I tak Warszawska Syrenka oraz Podlaski Śledź mogą z racji podobieństw fizycznych rozpocząć romans-tarło. Kwintesencją rozrywki jest tu parodia występu Fashionistki (Paulina Moś): w tym fragmencie na scenie pojawia się cała Papahema i pracuje jak Papahema, zamieniając się w jeden organizm. Tu zabawa formą najlepiej ujawnia kunszt i pomysły tego zespołu.

Ponieważ tekst *Niepodległości słoików* nie jest specjalnie wciągający (są w nim fajne momenty, ale są też niestety dłużyzny), uwaga automatycznie przenosi się na samych aktorów. I tu panowie z Papahemy wiodą prym: przy Mariuszu z Ożarowa można zapomnieć, że animuje go Mateusz Trzmiel, z kolei Paweł Rutkowski proponuje dwie skrajnie różne role jako Podlaski Śledź i Prowincjonalny Aktor. Nie chodzi tu jedynie o przekonujące poruszanie lalkami, ale też o zabawy głosem i… charakterami postaci.

Z zestawu jednostkowych wyznań nie stworzy się pełnowartościowej historii, ale *Niepodległość słoików* funkcjonować może jako ciekawy głos na młodej scenie teatralnej. (IM)

BEZ OGRÓDEK
czyli wywiady i recenzje

Szkło kontaktowe
recenzja z *Niepodległości słoików*

Trzynasty sezon Chorzowskiego Teatru Ogrodowego wprowadza nowy cykl: CHTO PO CIEMKU. Inaugurującym go wydarzeniem było zaprezentowanie sztuki z pogranicza spektaklu teatralnego i stand-upu, który także zyskuje coraz większą na polskim rynku popularność. Gospodarzem wieczoru stał się Rafał Rutkowski w asyście bardzo zdolnych aktorów-lalkarzy białostockiego Teatru Papahema. Są takie sztuki teatralne, które pozwalają spojrzeć na rzeczywistość z innej perspektywy, stając się niejako katalizatorem codzienności. Pozwalają na kilkadziesiąt minut oderwać się od problemów, napięć, które towarzyszą nam każdego dnia. Coraz większa popularność letnich przeglądów teatralnych prezentujących sztuki komediowe jest dowodem, że publiczność takiej rozrywki potrzebuje.

Niepodległość słoików to współczesna rzeczywistość przedstawiona w nieco nierealistycznej perspektywie, bliskiej jednakże każdemu z nas. To odpowiedź na wewnątrzkrajową migrację zarobkową, której głównym kierunkiem jest Warszawa. Artyści zwracają uwagę na szereg zachowań i przyzwyczajeń, których wspomniane „słoiki" nabywają wraz z przebywaniem w nowej, lepszej z ich perspektywy przestrzeni życiowej. Rutkowskiemu na scenie towarzyszą lalki, animowane przez aktorów Papahemy. Obok lalek pojawia się także biały miś, w którego środku (podobno) znajduje się jedna z czołowych postaci polskiej polityki. Szczegółów nie zdradzę, kto się wybierze, sam zobaczy. Na uwagę zasługuje świetne operowanie lalkami i gra aktorska (znakomita Paulina Moś jako blogerka-influencerka oraz Helena Radzikowska jako biały miś na terapii).

Rafał Rutkowski doskonale odnajduje się w roli stand-upera i gospodarza wieczoru. Do tego stopnia, że jest właściwie samowystarczalny technicznie: sam operuje światłem oraz dźwiękiem (puszczając muzykę z telefonu komórkowego…). Człowiek orkiestra? Niewątpliwie Rutkowski posiada talent do nawiązywania bezpośredniego kontaktu z widzami, którzy dają się wciągnąć w przebieg spektaklu/stand-upu. Wymaga to dużej charyzmy, bez której dobra interakcja z publicznością byłaby niemożliwa.

Niepodległość słoików jest odpowiedzią na rzeczywistość XXI wieku. Na świat, w którym migrujemy za lepszym jutrem i w miarę upływu czasu nasiąkamy zastanymi okolicznościami. Momentami gorzki, częściej wywołujący uśmiech spektakl pozwala spojrzeć na rzeczywistość z bezpiecznej perspektywy teatralnego krzesła. (Wojtek Boruszka)

Sz. C.: Twierdzi Pan, że „nie można być dobrym aktorem bez dotknięcia życia". A jak jest w odwrotną stronę? Czy aktorstwo czegoś uczy, jakoś przydaje się w codziennych sprawach?

W. P.: Myślę, że to zależy od roli i od postaci, jaką się gra. Oczywiście nie mówię o pseudoaktorstwie serialowym czy nawet filmowym, bo w filmach nie ma już dzisiaj sztuki aktorskiej. Sztuka aktorska, jeżeli istnieje, istnieje tylko w teatrze, nie ma innej możliwości… Aktorstwo nie pomaga, bo czy malarzowi pomaga, że maluje? Nie pomaga na takim poziomie myślenia, jeżeli to nie jest robienie min. Bo jeśli ktoś robi miny, to robi miny też w życiu. W drugą stronę to nie działa.

Sz. C.: Gra Pan na różnych instrumentach, między innymi na oboju, klarnecie czy werblu. Jak muzyka przekłada się na to, co Pan robi na scenie?

W. P.: Z muzyką jestem związany, oczywiście teraz już mniej gram, mam mniej okazji, przecież tu trzeba ćwiczyć. Ale matka prowadziła mnie od dzieciństwa do opery. na koncerty, w takiej atmosferze się wychowałem i nie wyobrażam sobie życia bez muzyki. Jako dziecko poszedłem do szkoły muzycznej, muzyka jest stale obecna w moim życiu. Bardzo często zapraszają mnie na czytanie różnego rodzaju tekstów z orkiestrą symfoniczną czy poematów w filharmonii: to część mojego życia artystycznego.

Sz. C.: Teraz będzie pytanie z wysokiego C: ten zawód to dla Pana rzemiosło czy powołanie? Jakie wartości chce Pan przez niego przekazywać?

W. P.: To w ogóle nie jest dla mnie zawód, unikam tego słowa. Zawodowy musi być stolarz, ślusarz, chirurg, pilot samolotu. W sztuce nie ma zawodów. Dzisiaj świat zwariował, zrobił ze wszystkiego produkt, w związku z tym mamy też do czynienia z aktorami-produktami, których popularność przynosi pieniądze: ale to nie ma nic wspólnego ze sztuką. Nie można być zawodowym księdzem ani zawodowym poetą. W sztuce aktorskiej też istnieje natchnienie, aktorzy potrafią być artystami. Pianista może grać na fortepianie, ale nie być artystą. Tak dzieje się, kiedy nie ma indywidualnego, osobistego wkładu w to, co się robi. Nie uważam się za zawodowego aktora. Zawodowi aktorzy to ci, którzy robią reklamy, muszą wypowiedzieć swoje kwestie szybko, wolno, albo zrobić coś w odpowiednim czasie. W sztuce nie ma zawodu, mówi się „zawód", bo z tego się żyje, ale przecież poeta pisze wiersze, kiedy ma natchnienie, a nie piętnaście wierszy miesięcznie, żeby zarobić pieniądze. W taki sposób to traktuję.

Sz. C.: Gra Pan w różnych językach: po polsku, po angielsku, po francusku i niemiecku. Czy takie granie w różnych językach wymusza na aktorze jakąś zmianę podejścia, czy są różne chwyty do stosowania, albo sposoby oddziaływania na widownię w zależności od kraju?

W. P.: Jesteśmy w zasięgu kultury europejskiej, więc nie ma różnych kodów kulturowych, które zmuszałyby aktora do kompletnie innego podejścia. Repertuar jest podobny. Dotyka się tu rzemiosła, bo żeby być artystą, trzeba umieć grać. Zanim profesor wiolonczeli zostanie wielkim artystą, musi przejść etap tak zwanego zawodu, czyli rzemiosła: musi odpowiednio umieć zagrać: szybko, wolno, głośniej, ciszej. Z językiem jest tak samo: musi Pani nauczyć się języka w taki sposób, żeby nie drażnił, nie przeszkadzał ludziom w przyjmowaniu tego, co Pani będzie gotowa artystycznie przekazać.

Sz. C.: Monodram to gatunek trudny dla aktora, a od widzów w *Belfrze* wymaga skupienia. Czego oczekuje Pan od swojej publiczności?

W. P.: To jest mój jedyny partner. Istnieje bardzo silny związek widza z aktorem, ja tego potrzebuję i widz

tak samo, żeby wytrzymać półtorej godziny… Wie Pani, ja nie jestem Dodą, nie jestem młodą dziewczyną, publiczność nie przychodzi na mnie, żeby się pozachwycać moją urodą, tylko żeby się czegoś dowiedzieć z tej sztuki i z tej roli. Od widza wymaga *Belfer* zatem uwagi. Potrzebny jest widz, który wie, po co przychodzi. Dzisiaj nie jest to częste, bo ludzie są przyzwyczajeni do różnych medialnych rzeczy, a monodram jest formą skromną, trudną, ale wdzięczną, jeśli jest dobrze zrobiony. Jest wdzięczny i dla aktora, i dla widza. Po spektaklu aktor może mieć wielką satysfakcję, ale widz również.

Sz. C.: Sporo Pan mówi o szacunku do zawodu aktora, a dzisiaj to rzadkie zjawisko. W czym powinno się objawiać? Czy aktor powinien walczyć o to, żeby go dostrzegali, czy postawić na cierpliwość i czekać, aż się uszlachetni z czasem?

W. P.: W ogóle nie powinien się tym zajmować. Jak to w życiu: są ludzie, którzy mają pasję i tacy, którzy pasji nie mają. Jeżeli ma się coś do powiedzenia w tym, co się robi, a dotyczy to nie tylko aktorstwa, a wszystkiego, jeżeli nie jest się jedynie wykonawcą, to jest to pewna filozofia życia, wrażliwość, stosunek do życia i do ludzi, uczenie się rozumienia drugiego człowieka. Aktorstwo nie jest udawaniem czegokolwiek, tylko próbą zrozumienia człowieka, postaci, którą się gra, którą się tworzy. To wiąże się z etyką. Tak jak istnieje etyka duchownego, któremu pewnych rzeczy nie wypada robić, etyka lekarza, tak istnieje etyka artysty. Aktora, który, jeśli posiada poczucie wartości i szuka sensu w tym, co robi, też od razu ma określony w ten sposób punkt widzenia. Nie będzie brał szmiry, nie będzie robił czegoś tylko dla pieniędzy, nie będzie robił byle czego, będzie podchodził do pracy poważnie. To automatycznie wytwarza pewien kod postępowania.

Sz. C.: Na scenie lubi Pan być poważny i dramatyczny, ale też uwielbia błaznować. Jaki rodzaj śmiechu jest Panu w spektaklach najbardziej bliski?

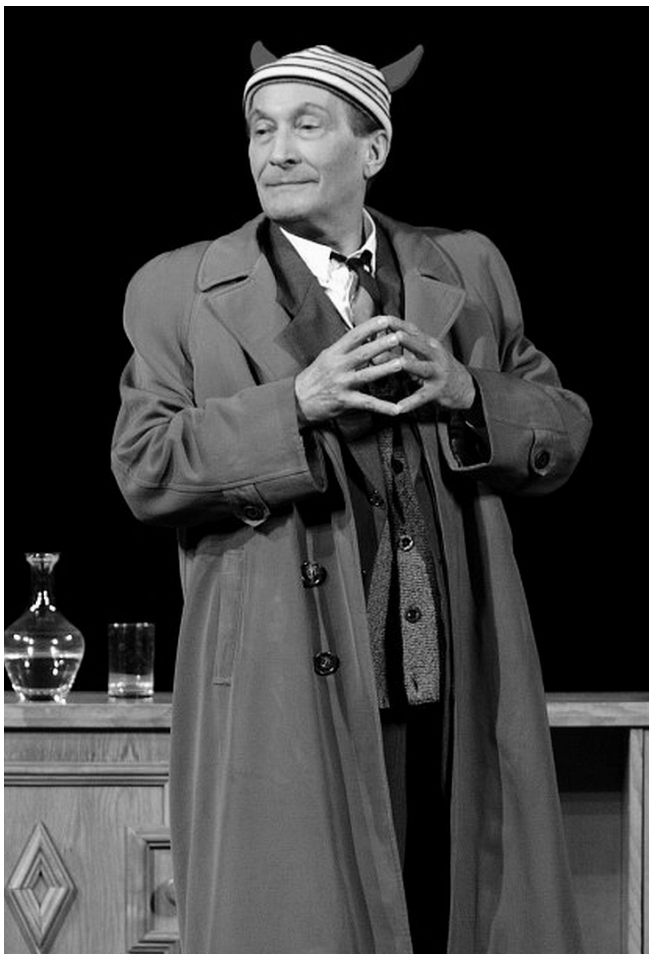

W. P.: Mogę powiedzieć, jaki jest najbardziej odległy i denerwujący… Rechot. Nienawidzę rechotu. W dzisiejszych czasach, mówię o Polsce, ten rechot jest dominujący: to dlatego, że ludzie nie mają czasu, jest niska kultura kabaretów. Śmiech jest mądry, jest potrzebny, Pan Bóg stworzył człowieka, żeby się śmiał, nie dlatego, że miał taki kaprys, ale dlatego, że śmiech jest ważny. Człowiek się śmieje, patrząc na filmy Chaplina czy Bustera Keatona i to jest mądry śmiech. Ale jest też głupi śmiech, czyli tak zwany rechot, w którym o nich nie chodzi. Śmiech przecież może poruszać i wzruszać. I taki śmiech jest mi bliski.

Sz. C.: *Belfra* gra Pan już od piętnastu lat. Jak zmienia się ten spektakl, jeśli w ogóle?

W. P.: Zmienia się. Teatr ma to w sobie, że może nie jest wieczny, ale jest żywy. Nie gram *Belfra* regularnie, więc nie mam rutyny. To wspaniały, inteligentny, mądry, śmieszny momentami i tragiczny tekst, który mi pozwala na utrzymanie świeżości. Jak się zmienia, to nie ja mogę powiedzieć, ale zmienia się wraz ze mną, myślę, że piętnaście lat temu był trochę inny. Dalej jest tekstem mądrym, nic z niego nie wyparowuje. Jest żywy, publiczność, która do tej pory to oglądała, przyjmuje go bardzo pozytywnie.

Sz. C.: A czy dzięki *Belfrowi* jakiś aspekt rzeczywistości stał się dla Pana bardziej zrozumiały?

W. P.: Może nie zrozumiały, ale… aktor może tu uczestniczyć w życiu, obserwując je. *Belfer* napisany jest bardzo mądrze przez profesora, który wie, co to znaczy być nauczycielem. Myślę, że zawarł tu swoje przeżycia i swoje doświadczenie. Ja też jestem pedagogiem, nie w szkole, nie w liceum, ale też jest to niezwykle ważna praca z młodzieżą. Szkoła to bardzo znaczący moment dla młodego człowieka, powstają tam niezwykłe związki z innymi ludźmi, zapadają istotne decyzje. Pamiętamy wszystkich swoich ulubionych nauczycieli, tych, których ceniliśmy, ale pamiętamy też tych, którzy nie byli dla nas mili i nie dali nam tego wszystkiego. Podstawowe komórki w życiu młodego człowieka to dom i szkoła, dlatego przywiązuję do tego taką wagę. Pamiętam moje przeżycia jako ucznia i próbuję to w roli zmieścić.

Sz. C.: A jakiś konkretny nauczyciel na Pana wpłynął? Pamięta Pan swoich belfrów?

W. P.: Miałem wspaniałego polonistę, mądrego i spokojnego, wspaniałego historyka, matematyka, w liceum muzycznym profesora oboju… Profesor jest bardzo ważny, bardzo często może uszkodzić młodego człowieka, łatwo to zrobić. Miałem też w szkole podstawowej matematyka, który był antypatyczny i niemiły, pamiętam jego twarz. Może sam był nieszczęśliwy i przekazywał to, świadomie czy nieświadomie, uczniom, nie kochał ich. Bo ucznia trzeba kochać, nie miłością udawaną, tylko tak, jak Korczak kochał dzieci. To specjalny związek, trzeba mieć poczucie wielkiej odpowiedzialności.

Sz. C.: Jakim Pan chce być nauczycielem dla swoich studentów? Czego ich nauczyć w pierwszej kolejności?

W. P.: Przede wszystkim ich otworzyć i uwrażliwić na to, co życie niesie. A życie jest nieprzewidywalne, nie do wyreżyserowania. Trzeba ich uodpornić na zło, ale też uwrażliwić na dobro, na to, że życie jest piękne i świat jest piękny, chociaż momentami trudno w to uwierzyć. Trzeba życie przeżyć z takim poczuciem, że się go nie zmarnowało, to jest najważniejsze. Reszta to kwestia

BEZ OGRÓDEK
czyli wywiady i recenzje

losu i przypadków.
Sz. C.: *Belfer* jest prezentowany w wielkich miastach i małych ośrodkach. Czy widzi Pan różnicę w odbieraniu go przez publiczność? A może liczy się wiek?
W. P.: Nie. Tu przychodzi publiczność, która, mam wrażenie, wie, po co przychodzi. Przede wszystkim ja nie jestem medialnym, serialowym aktorem, nie czuję popularności. Popularność potrafi psuć i nie jest tak bardzo potrzebna: przydaje się tym, którzy zarabiają pieniądze na popularnych aktorach. Wystarczy na sali jeden widz, który wie, po co przyszedł i aktor, który wie, po co do niego mówi i po co gra. W związku z tym bardzo lubię w małych ośrodkach spotykać się z ludźmi, bliska jest mi kultura: nie ta oficjalna, tylko ta, która się rodzi w malutkich miejscach, w szkołach, małych miasteczkach. Nie w Warszawie czy w Krakowie, a tam, gdzie nauczyciele i ludzie zajmujący się kulturą wykonują niezwykłą robotę. Ja to czuję, jestem bardzo szczęśliwy, kiedy spotykam takich ludzi, cieszę się, że jest w nich ta potrzeba przeżywania rzeczy wartościowych, na tak zwanej „prowincji".
Sz. C.: Na jaki element warsztatu aktorskiego wyczulał się Pan specjalnie? Czy jakiś konkretny wiązał się z odniesieniem sukcesu w aktorstwie?
W. P.: Nigdy o tym nie myślałem i w ogóle się nie zajmowałem sukcesami. Sukces jest wtedy, gdy ja uznam, że coś jest dla mnie ważne. To, co piszą, bardzo często, dzisiaj szczególnie, polega na płytkości i szybkości oceny aktorów… dziennikarze nie znają się na sztuce aktorskiej, więc mylą wszystko. Nie przejmuję się tym, po prostu robię swoje i nad sukcesami nigdy się nie zastanawiałem, bo nie ma to żadnego wpływu na to, co myślę o świecie, o życiu i o człowieku.
Sz. C.: Dziękuję za rozmowę.

rozmawiała Iza Mikrut

Dziś na scenie:

26 lipca, piątek
godz. 19:00
w Chorzowskim Centrum Kultury
MONODRAM MISTRZOWSKI
Wojciech Pszoniak
Belfer

tekst: Jean-Pierre Dopagne
tłumaczenie: Bogusława Frosztęga
reżyseria: Michał Kwieciński
scenografia i kostiumy: Irena Biegańska
na scenie: Wojciech Pszoniak
czas trwania: 90 minut

Tytułowa postać to były profesor literatury, który interesuje się teatrem; teraz musi jednak zwierzać się odbiorcom ze swoich doświadczeń w roli pedagoga. Przekonuje się, że współczesna młodzież za nic ma dawne ideały i autorytety: funduje nauczycielowi prawdziwą szkołę życia. Jednak szkoła jest tylko pretekstem do przedstawiania diagnozy dotyczącej całego społeczeństwa. To spektakl wzruszający, porażający i niezwykły.

W 2015 roku Piotr Bikont tak opowiadał naszej redakcji o Folwarku Badowo Kłody, skąd wywodzi się Teatr Badów oraz o istniejącym tam zespole teatralnym:

Zaczęło się kilkanaście lat temu od tego, że z dwójką aktorów chcieliśmy zrobić dość proste w inscenizacji przedstawienie, ale nie mieliśmy gdzie. A mój przyjaciel, Sławek Sierzputowski, był właśnie w trakcie tworzenia tego miejsca w Badowie Górnym. Spędziliśmy tam lato, powstał spektakl *Frank&Sztajn* i tak się zaczęło. Teraz jesteśmy już po jedenastu premierach i myślę, że tak jak nasz teatr ogromnie dużo zawdzięcza temu miejscu, tak i sam Folwark tworzył swoje środowisko w jakimś stopniu w oparciu o imprezy teatralne.
Mamy dziś bardzo wierną i liczną widownię, która wciąż rośnie. Każdemu spektaklowi granemu tam, w naszej siedzibie, towarzyszy wspólna z widzami kolacja, koncerty muzyki jazzowej, klasycznej, tradycyjnej, projekcje filmów, nie wspominając o spacerach po pięknej okolicy czy kąpieli w stawie.

Stowarzyszenie Teatralne Badów zmieniło obecnie nazwę na Teatr Badów im. Piotra Bikonta i wciąż stawia na dobre literacko spektakle i ciekawe rozwiązania inscenizacyjne, kontynuując dorobek artystyczny założyciela: można się będzie o tym przekonać już 2 sierpnia: najpierw w *Przygodach Pędrka Wyrzutka* na podstawie prozy Stefana Themersona, później w *Siódemce*, monodramie Pawła Pabisiaka według powieści Ziemowita Szczerka. Oba spektakle w Sztygarce, oba z muzyką tworzoną na żywo!

Zapraszamy na profil facebookowy Chorzowskiego Teatru Ogrodowego:
www.facebook.com/chorzowskiteatrogrodowy
Dzielcie się z nami wrażeniami po spektaklach, bierzcie udział w konkursach i oglądajcie galerie zdjęć!

SZTAJGEROWY CAJTUNG
GAZETKA FESTIWALOWA

redagują:
Basia Englender, Anka Miozga
i Wojtek Boruszka
sekret. redakcji:
Iza Mikrut
foto-graf: Radek Ragan
Naczelny Ogrodnik: Sergiusz Brożek
Piszcie do nas:
sztajgerowycajtung@gmail.com

CO W TRAWIE PISZCZY
czyli zapowiedzi

Za tydzień na scenie:

2 sierpnia, piątek
godz. 19:00 w Sztygarce
Teatr Badów im. Piotra Bikonta
(Badów Górny)

Przygody Pędrka Wyrzutka

tekst: Stefan Themerson
adaptacja i reżyseria: Piotr Bikont
muzyka: Przemysław Greger
scenografia: Aleksander Janicki
kostiumy: Zuzanna Markiewicz
światło: Kornel Luczek
na scenie: Joanna Fidler, Mirosława Olbińska, Przemysław Greger (gitara elektryczna), Paweł Pabisiak
czas trwania: 75 minut

Adaptacja powieści wybitnego polskiego pisarza, filozofa, autora awangardowych filmów i fotografii, działającego na emigracji. Spektakl jest formą bajki (ale nie dla dzieci) o dziwnym stworzeniu, które wędruje przez świat, próbując się dowiedzieć, kim jest. Poznaje różne dziwne postacie i przeżywa zabawne przygody. W przedstawieniu wykorzystana jest żywa muzyka, powstająca na scenie, wpisana w akcję oraz muzyk.

2 sierpnia, piątek
godz. 22:00 w Sztygarce
CHTO PO CIEMKU
czyli Sztygarka dla dorosłych
Teatr Badów im. Piotra Bikonta
(Badów Górny)

Siódemka

tekst: Ziemowit Szczerek
reżyseria i adaptacja tekstu: Piotr Bikont
asystent reżysera: Joanna Fidler-Sierzputowska
scenografia i kostiumy: Zuzanna Markiewicz
światło, dźwięk, wizualizacje: Kornel Luczek
na scenie: Paweł Pabisiak
Przemek Greger (gitara elektryczna)
czas trwania: 70 minut

„Siódemka, Siódemeczka, szós polskich królowa, droga, która jest kręgosłupem polskiego państwa". To właśnie ta droga będzie ostatnią dla bohatera przedstawienia, Pawła, który jedzie z Krakowa do Warszawy na bardzo ważne spotkanie. Droga ta stanie się dla niego, jak i dla widzów, rachunkiem sumienia, próbą zmierzenia się z Polską, polskością i z Belfegorem, zapomnianym przyjacielem z dzieciństwa. *Siódemka* to monodram w wykonaniu Pawła Pabisiaka z muzyką na żywo.

3 sierpnia, sobota
godz. 15:00 na scenie w Skansenie
CHORZOWSKI TEATRZYK OGRÓDKOWY
Teatr Gry i Ludzie (Katowice)

Kłopoty Kacperka góreckiego skrzata

scenariusz i reżyseria: Maciej Nogieć
scenografia i projekty lalek: Alicja Kocurek
muzyka: Kamil Zawiślak
na scenie: Aleksandra Fielek, Ola Lamik, Grzegorz Lamik, Bartosz Socha, Szymon Strużek
realizacja techniczna: Beniamin Lediński
czas trwania: około 50 minut